

Maska kłutwy

Fala ludzi, przetaczających się po ulicach malowniczego miasta, rosła. Zdawało się, że zewsząd napływają coraz to nowi, by utonąć w nurcie rzeki we wszystkich kolorach świata. Muzyka była głośna, a zewsząd atakowała feeria piór, kwiatów i tiulu. Zachwycające stroje były jednak niczym w porównaniu z maskami – każdy przechodzień był w takową przystrojony. Przedstawiały zwierzęta, postacie, najróżniejsze stworzenia. Wszystkie zdobione, kipiące złotem, srebrem i wszystkimi innymi kolorami, które człowiek może ujrzyć, a nawet i takimi, które zdają się niewidoczne dla oczu. Karnawał był wspaniały jak co roku i każdy musiał choć na chwilę pojawić się na tym wydarzeniu, nęcony zapachami i widokami, których nie da się poczuć i ujrzyć nigdzie indziej. Hałas, panujący zawsze na mieście, nie odstraszał, a jedynie dodawał uroku wydarzeniu. Tak uważała przynajmniej grupa przyjaciół, która za wszelką cenę starała się nie zgubić. Jeden z idących niemal poleciał na bruk – jego jelenie poroże zahaczyło o dekoracje, zwieszające się między latarniami ulicznymi. Kangee odwróciła się i pomogła mu złapać równowagę.

– Żyjesz, Mohe? – spytała przyjaciela. Skinął i pociągnął ją za sobą. Wreszcie udało im się zatrzymać koło reszty kompanów. Z trudem przepchnęli się do niewielkiej, malowanej we wzorki furgonetki. Zapukali i weszli do środka. Nagle wszelkie odgłosy z zewnątrz ucichły. Teraz dało się słyszeć jedynie trzask płomyków w świecznikach i delikatną muzykę. Wszelkie mieszające się wonie ulicy ustąpiły delikatnemu zapachowi ziół, wosku i starych przedmiotów.

Choć byli tu sami, nie panowała tu pustka. W każdym zakamarku tego pomieszczenia widać było najróżniejsze przedmioty. Bibeloty leżały na skrzyniach, półkach, gdzie tylko się mieściły. Biła od nich jakaś niezrozumiała moc, która przyciągała i odpychała zarazem. Rozeszli się po pomieszczeniu, a wtedy dostrzegli, że ciągnie się ono jeszcze daleko, będąc dużo większym, niż zdawało się z zewnątrz. Czyżby i furgonetka – nie dość, że zawierała przedmioty o jakiejś magicznej mocy, sama była magiczna?

Tokała ruszył w najciemniejszy kąt, Ayame i Tuksaki szukali nieco wyżej, na półkach. Kangee zbliżyła się do wiszącego lustra. Ujrzała w nim siebie, lecz świat w odbiciu stał na głowie – jej czarna maska przypominająca wroni dziób lśniła w szklanej tafli, a kryza z ciemnych, ptasich piór sterczała do góry nogami. Uśmiechnęła się do siebie, ale jej mina zrzędła, gdy w odbiciu dojrzała stojącego w głębi przyjaciela. Odwróciła się, a wtedy świat z powrotem powrócił na własne miejsce. Mohe stał osłupiały, wpatrzony z obrzydzeniem w ozdoby przy suficie – jelenie poroża wykorzystane były jako wieszaki na różnego rodzaju ozdoby.

– Nie patrz na to – Tokała był przy nim pierwszy, delikatnie zwrócił jego uwagę na rzecz, którą trzymał w ręce. Włożył mu w dłoń pewien medalion. Był ciężki i zimny, skutecznie odwrócił uwagę chłopaka od trofeów po polowaniu. Mohe, ubrany w brązowe futro, poczuł chęć, by otulić się swym przebraniem jeszcze szczelniej; od przedmiotu bił nieprzyjemny chłód. Oddał go. Tokała patrzył jednak na medalion z niezrozumiałym dla innych namaszczeniem – gładził jego wewnętrzną stronę w zamyśleniu. Ujrzał bowiem na niej coś niesamowitego. Miał na sobie napis, który lśnił chłodnym blaskiem. „Zdejmij maskę” – głosił. Chłopak dotknął palcami najpierw kamienia, a następnie twarzy. Poczuł miękką, matową sierść. Jego lisia maska była podrapana. Zastrzygł uszami, które ukrył pod kapturem brązowo-rudej peleryny – fragmentem jego kostiumu. Zaciśnął wargi. Czwórka przyjaciół patrzyła na niego, niepewna co powiedzieć.

– Przepraszam, kontynuujmy – westchnął chłopak i sam odwrócił się do ściany. Ayame podeszła do niego cicho.

– W porządku? – oparła dłoń na jego ramieniu. Zawsze rozumiała go najlepiej, uważała, że wilki i lisy mają ze sobą wiele wspólnego. Pewnie miała rację – Tokała to jej towarzystwo lubił najbardziej w trudnych chwilach. Sam fakt, że była, mu wystarczał. Była zawsze. Była, odkąd... Właśnie, odkąd? Odkąd pamiętał, czy wcześniej? Pojawiła się, dopiero gdy uświadomił sobie, że nie

wie, dlaczego ma lisi ogon i uszy? Czy była wcześniej, zanim... co? Zanim dar bycia zwierzęciem sprawił, że poczuł się przeklęty? Zanim zyskał, a może jedynie odzyskał świadomość?

– Tak, nic mi nie jest – odparł, wiedząc, że nie będzie drażyć. Dziewczyna nadal patrzyła na chłopaka, jak wilczyca na szczenię, gdy martwi się o jego los. Odwróciła wzrok niechętnie, jakby bojąc się, że Tokala zostawiony sam, może sobie coś zrobić.

– Chyba coś znalazłem... – Tuksaki przerwał ciszę w odpowiednim momencie. Nigdy nie wiedzieli, jak udawało mu się znaleźć sposób, by odwrócić uwagę od nieprzyjemnych sytuacji. Tym razem także trafił idealnie, jak zwykle strzygąc długimi, burymi uszami. Zawsze czujny, gotowy, by o sobie przypomnieć, gdy wszyscy zdawali się zapomnieć o jego istnieniu. Nie był to jednak przejaw ich lekceważenia wobec przyjaciela, a okazanie mu szacunku i życzliwości – nie musisz się odzywać, jeśli nie chcesz, ale wysłuchamy cię, kiedy zaczniesz mówić. Tym razem Tuksaki nic nie dodał, jedynie zbliżył się do nich, by pokazać im pergamin. Zapisany był małymi, kształtnymi literami. Tworzyły pieśń. Od dawna znali jej melodię, jedynie tekstu im brakowało. Teraz byli o krok bliżej od ich upragnionego celu – być może właśnie ten tekst był kluczem do zdjęcia klątwy. Nie wiedzieli, czy to możliwe, ale był jeden sposób, by się przekonać – musieli spróbować. Myśl o stworzeniu ceremonii napawała ich jednak strachem. Żadne z nich nie pamiętało świata przed tym, jak się obudziło. Obudzili się uwięzieni między dwoma światami, niepewni co robić. Zwierzęcy instynkt kazał się ukrywać, więc ukryli się pod maskami, ukryli się przed światem. Ukryli się przed własnym strachem. Dlaczego więc czasem udawało mu się ich dopaść?

– W czymś wam pomóc? – głos dochodził z drzwi, które otwarły się na oścież. Był dobrotliwy, a należał do staruszka, właściciela furgonetki. Wszedł do wnętrza, bacznie im się przyglądając. Światło latarni i pochodni wpadło do środka, oślepiając ich, gdyż wzrok przyzwyczaił się już do lekkiego półmroku. Zaskoczył ich także powracający gwar spoza furgonetki. Jak to możliwe, że, będąc w środku, nie słyszeli odgłosów zabawy?

– Nie, dziękujemy, chcieliśmy się tylko rozejrzeć, myśleliśmy, że zastamy pana w środku – uśmiechnął się Mohe, kłaniając się.

– Tak, jesteśmy pod wrażeniem pańskich zasobów, jednak czas nas goni, jeszcze tyle pięknych miejsc do zwiedzenia – dodała Kangee, zbliżając się do wyjścia. Sprzedawca wydał się z początku nie do końca przekonany, co myśleć o tej grupie, która wyglądała, jakby dopiero co uciekła z cyrku, jednak szybko się uśmiechnął.

– Wesołego karnawału dzieci! – roześmiał się i wszedł głębiej. Minął ich i usiadł w bujanym fotelu, który zauważyli dopiero teraz. Przymknął powieki.

Po chwili cała piątka była już na zewnątrz, szybko się oddalając, zanim staruszek miał szansę zauważyć zniknięcie pergaminu. Przystanęli przy jednej z latarni ulicznych, rozprawiając na tyle cicho, by nikt inny nie dosłyszał ich rozmowy. Ustalili, że spotkają się w tym samym miejscu w przeciągu kilku chwil. Każdy z nich miał teraz chwilę dla siebie. Rozeszli się więc, w poszukiwaniu atrakcji, które ich zaintrygują.

Tokala skierował się w nieznaną stronę. Zamyślony pozwolił poprowadzić się tłumowi. Nie wiedząc kiedy, poczuł nagle, że stoi w miejscu, niepchany już przez strumień ludzi, a gwar nieco ucichł. Do jego nozdrzy doleciał zatęchły zapach. W powietrzu unosił się odór trudny do rozpoznania. Znajdował się w ciemnej uliczce – chłopak uświadomił sobie, że słońce dawno zaszło i zapadła już noc. Jedynie dzięki łunie bijącej od centrum zabawy, dostrzegł na odległym krańcu ulicy, leżący na ziemi kształt. Zbliżył się do niego, rozglądając na boki, starając się jak najciszej dojść do ułożonej postaci. Tak, to była postać, człowiek leżący na bruku.

– Co do diabła? – pomyślał Tokala, bystrzejszym wzrokiem rozglądając się dookoła. Przykląkł przy leżącym, by dojrzeć jego twarz, jednak była ona ukryta za maską, która w ciemności przypominała niedźwiedzi pysk. Drżącymi rękami wyjął z kieszeni medalion, który wsunął wcześniej

ukradkiem w poły płaszcza. Napis „Zdejmij maskę” nadal lśnił blaskiem, a teraz nawet bił od niego coraz większy żar. Chłopak odetchnął kilka razy, po czym drżącymi palcami zsunął niedźwiedzią maskę. Widok, który ujrzał pod nią, sprawił, że zapragnął cofnąć czas. Nie chciał jej ściągać i widzieć tego obrazu...

Pod maską lśniła czaszka. Wyglądała nieludzko, przyprawiała o mdłości. Była całkiem wyschnięta, dwa oczodoły świeciły martwą ciemnością. Odór pochodził od tego ciała. Teraz dopiero Tokała rozpoznał ten swąd, a gdy już to sobie uświadomił, poczuł odruchy wymiotne. Czemu coś tak strasznego kryło się pod niepozorną maską? Nagle dopadło go przerażające uczucie niepokoju, o ile można mówić o tak błahym uczuciu w zaistniałej sytuacji. Dotknął maski rękami i ledwo powstrzymując mdłości, zdjął ją. Z ulgą wymacał zdeformowane w zwierzęcy pysk: twarz, czoło, oczy i policzki. Na nich poczuł mokre ślady. Łzy poleciały mu bezwiednie, nawet nie wiedział kiedy. Siedział tak dłuższą chwilę, drżąc i pozwalając kroplom płynąć. Nagle usłyszał za sobą ciche kroki. Nie uniósł głowy, tylko zawiązał maskę, by ukryć... łzy, czy zdeformowane oblicze? Sam nie wiedział.

– Nie chcę tak skończyć – szepnął drżąc, a głos załamał mu się w połowie zdania.

– Wiem, nikt nie chce – głos Ayame był spokojny, chociaż Tokała wiedział, że jedynie stara się nie okazywać obrzydzenia truchłem. Usiadła obok niego, otoczyła go ramieniem. Przytulił się do niej, oparł czoło na jej barku. Drżał niczym w przedśmiertnych konwulsjach.

Zastała ich tak reszta grupy, a gdy ujrzeni czaszkę, odwrócili głowy z bolesnym grymasem. Z ust Kangee wyrwał się okrzyk, który brzmiał niemal jak wroni. W takim bezruchu zastał ich księżyc, który zajrzał do uliczki. Jego światło sprawiło, że coś tknęło Ayame.

– Jeśli nie chcemy skończyć jak on... Musimy spróbować zdjąć klątwę... – zaczęła cicho, niepewnie. Po chwili zaintonowała melodię. Przy akompaniamencie nucenia, w jej wnętrzu płonął coraz większy płomień. Reszta do niej dołączyła, a Tuksaki zaczął śpiewać, odczytując tekst z pergaminu. Medalion, trzymany przez Tokałę, zaczął lśnić coraz jaśniejszym blaskiem. Z każdą sekundą głośniejszy śpiew nadawał im poczucie, że klątwa, która była ich nieodłącznym elementem, odejdzie w zapomnienie... Błysk, ciemność, a potem zapomnienie...

Obudził ich świt. Znajdowali się w tym samym miejscu. Przy nich leżał stos kamieni, przypominający czaszkę, a obok maska niedźwiedzia. Tokała pierwszy odzyskał świadomość. Czuł się jak wtedy. Dawno temu spojrzał na dłonie. Palce miał zakończone pazurami. Dotknął twarzy, była zdeformowana. Dotknął lisich uszu... Teraz jednak wszystko miało się zmienić...

Nie zmieniło się. Zrozpaczony chłopak wstał. Jego ruch rozbudził innych. Z niepokojem, nie do końca świadomi, rozejrzeli się dookoła.

– Stój! – krzyknął ktoś, ale Tokała nie posłuchał. Dobiegł do głównej ulicy. Wszędzie wisiały karnawałowe dekoracje, ale tancerze i akrobaci pakowali sprzęt. Po mieście spacerowali pierwsi przechodnie. Chłopak stanął jak wryty. Zaalarmowani przyjaciele natychmiast podbiegli do niego, ale ich reakcja była identyczna. Oszołomieni rozglądali się dookoła.

– Dzień dobry, piękny dziś poranek, nieprawdaz? – podeszła do nich para. Mężczyzna skinął im głową, a jego partnerka pomachała dłonią. Kończyły ją smukłe palce zakończone pazurami, a między puklami włosów, dostrzegli kocie uszy. Z ust mężczyzny co chwila wysuwał się długi, rozdwojony język.

Przyjaciele rozejrzeli się. Każdy, kogo widzieli, miał zwierzęce cechy, nieukryte pod żadną maską. Czyżby to wszystko, co przeżyli oni w ukryciu, przeżywali wszyscy? Czyżby teraz każdy ukazał swoją naturę? Z rąk Tokali wypadł medalion. Teraz dopiero uświadomił sobie, że ciągle go trzymał. Napis „Zdejmij maskę” wreszcie przestał lśnić. Wszystkie maski zostały już zdjęte.

